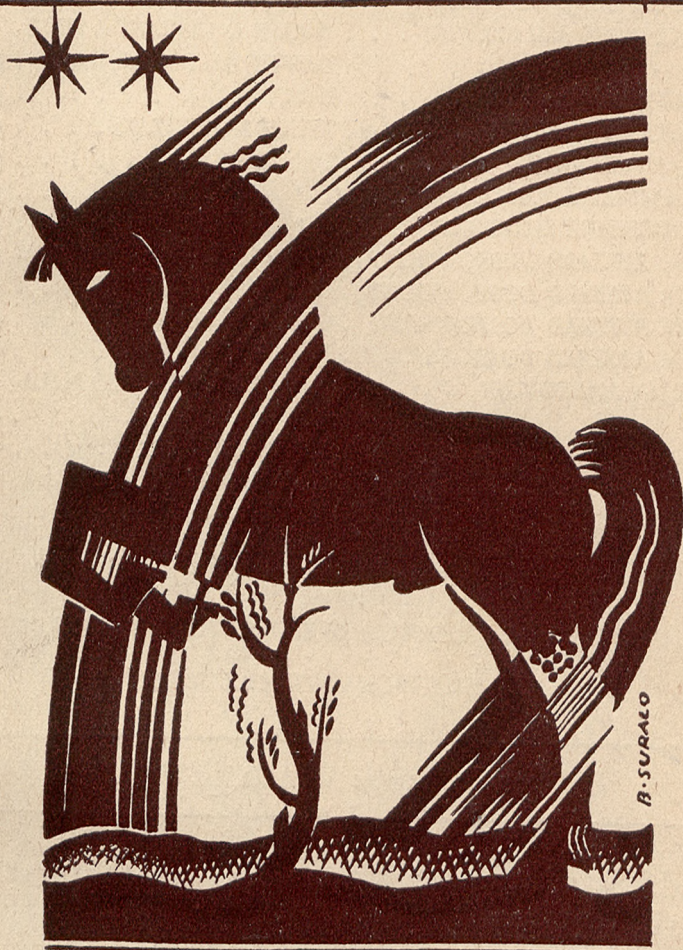


# KWADRYGA

---

---



**MIESIĘCZNIK  
LITERACKI**

**ROK III.**

**NR. 2**

**WARSZAWA 1929 ROK.**

T R E Ś Ć :

KONSTANTY J. GAŁCZYŃSKI . . .	KONIEC ŚWIATA . . . . .	41—50
ALEKSANDER MALISZEWSKI . . .	WIERSZ O ULICZNYM SPRZE- DAWCY BALONÓW . . . . .	51
WŁADYSŁAW SEBYŁA . . . . .	FABRYKA . . . . .	52—53
WŁADYSŁAW SEBYŁA . . . . .	TYLKO RAZ KRZAKI . . . . .	54
LUCJAN SZENWALD . . . . .	DANCING . . . . .	55
WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK . . . * * *		56
WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK . . . * * *		57
STAN. RYSZARD DOBROWOLSKI . . .	POD MIEDZIANYM KSIĘŻYCEM	58
STAN. RYSZARD DOBROWOLSKI . . .	GODY ŚW. MARCHOŁTA . . . . .	59
STAN. RYSZARD DOBROWOLSKI . . .	GODZINA ROZPACZY . . . . .	60
STAN. RYSZARD DOBROWOLSKI . . .	MOJA MODLITWA . . . . .	61
MARJAN MARKOWSKI . . . . .	PIEŚŃ UMIERAJĄCEGO MAŁA- RZA . . . . .	62
ANDRZEJ WOLICA . . . . .	WIĘŹNIOWIE . . . . .	63
STEFAN FLUKOWSKI . . . . .	OPOWIADANIE ROZMIARA . . . . .	64—72
JAN SOBCZAK . . . . .	MATKA . . . . .	73—83
STAN. RYSZARD DOBROWOLSKI . . .	MISERERE . . . . .	84
	RÓŻNE . . . . .	87—88

WKŁADKA: REPRODUKCJA DRZEWORYTU J. TOPOLSKIEGO

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ: B. SURAŁO

---

Redaktor i wydawca: WŁADYSŁAW SEBYŁA

---

Redakcja mieści się w Warszawie, ul. Senatorska 22,  
(Księgarnia F. Hoesicka), Tel. 505—31.

Redakcja czynna we wtorki w godz. 18—19.

Prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje Księg. F. HOESICKA w Warszawie, Senatorska 22  
Telefon 10—68. Konto w P. K. O. 3459

Prenumerata wynosi rocznie Zł. 30.—  
kwartalnie „ 8.—  
Cena zeszytu pojedynczego „ 3.—





K O N I E C   Ś W I A T A  
„WIZJE ŚWIĘTEGO ILDEFONSA,  
CZYLI SATYRA NA WSZECHŚWIAT“

Apparebit repentina  
Dies magna Domini  
Fur obscura velut nocte  
improvisos occupans.

(*Śpiewka łacińska.*)

W Bolonji na Akademji  
astronom Pandafilanda  
rzekł, biret zdejmując z włosów:  
— Panowie, to jest skandal:  
zbliża się koniec ziemi,  
a może całego Kosmosu;  
wszystko przed wami rozwinę:  
perturbacje i paralaksy,  
bo według mojej taksy  
świat jeszcze potrwa godzinę.  
Na te okropne słowa  
podniósł się Imć Marconi,  
najoświeceńsza głowa  
w całej Bolonji.  
I rzekł: — Areopagu  
mędrców najznakomitszy,  
wszystko, com słyszał, jest blagą  
jak sześć to jest trzy i trzy;  
wszem wobec, jako rektor,  
oświadczam przeto, że kto  
takie brednie lansuje,  
na karę zasługuje,  
że taki głupi argument  
wymyślić mógł energumen,  
szarlatan Pandafilanda.  
Rumor się zrobił na sali:  
wszyscy uczeni gwizdali,  
wołali: — Skandal i granda  
on tu nas chciał omamić,  
nabując, skorrumpować,  
zaidjotyfikować —  
poczekaj pan — kłamstwo plami,  
nikt z czoła ci hańby nie zdejmie!  
To mówiąc, wyszli, stuknąwszy pulpitemi,  
jak w polskim sejmie.

Zostały czarne pulpity  
i czarny na ścianie krucyfiks  
i na katedrze zgnębiony,  
maleńki, pokurczony  
astronom.

Bolało go bardzo w głowie,  
więc zażył proszku „Z kogutkiem“,  
potem przez chwile krótkie  
nie podejmował powiek,  
wiadomo: astronom też człowiek.  
Potem się chwilę przechadzał  
posępny niestychanie,  
mruczał coś: — Kończy się władza...

Albo na białej ścianie  
kreślił cyfry i znaki,  
logarytmy, zodjaki —  
przez bardzo długie chwile  
zawile.

W końcu w notesie u góry,  
patrząc w cyferblat „Cyma“,  
nakreślił dziwne figury  
z miną olbrzyma.

A potem, wsparty na dłoniach  
już tylko w okno poglądał:  
za oknem była zielona  
Bolonja.

I wieczór.

Daleko — w złotym birecie  
student przygrywał na flecie —  
było to w lecie.

Stop!

Bo gdy wypełniła się pora,  
znaczy godzina szósta,  
u bezbożnego rektora  
popękały wszystkie lustra  
i potrzaskały także u rentjerów i tapicerów  
i u wszystkich w mieście fryzjerów,  
a była to plaga za grzech.

Komiczne!: woźny Malvento,  
egzaminując się w lustrze;

— Twarz mam na dwoje rozciętą!  
wrzasnął. A to było w lustrze.

Więc widząc co się święci,  
z kościołów uciekli święci,  
salwując się fugą niepiękną,  
jak lustra nie chcieli pęknąć;  
uniósł się trwożnie do góry

*ładne, gliniane figury  
i poleciały do nieba.*

*Niema świętych, gdy potrzeba.*

*A tutaj w moich widzeniach  
nastąpi powinna przerwa.*

#### WIDZENIA NASTĘPUJĄ.

*Koty, motyle i drzewa  
tańczyły ze zgrozy w kółko,  
skrzydła siwiały jaskółkom,  
widziano krew na kamieniach.  
Widziano, jak nawet rektor  
ze strachu spuszczał zasłony  
i płakał, jak narodzony,  
a przecież nie był byle kto.*

*A już na wszystkich ulicach  
krzyczano „Ginie Bolonja!“  
widząc ten bayzel, policja  
jęła cwałować na koniach;  
długimi pałkami z gumy  
prażyli karabinjerzy,  
niestety! wrzeszczały tłumy:  
— ratuj się, kto w Boga wierzy!  
I kto wierzył, szeptał „O Boże“,  
a kto nie, „Strachy na lachy!“  
Ciekawsi włązili na dachy  
i nawet bydło w oborze  
ryczało, ryczało, ryczało.  
Ulicami szli biczownicy  
w djesirycznej włosienicy  
i umartwiali ciało.  
Mówiono, że nawet papież  
(tss!) szuka ucieczki na mapie,  
że całe święte koncylium  
bije się w członki lilją.  
Taki to dopust Pan dał  
przez usta Pandafilanda.  
Tylko weseli studenci  
do strachu nie mieli chęci.  
W tawernach, winem obrostych  
kochankom pisali akrostych,  
a co wstydlwsze kochanki*

przez wina dzikiego listek  
całowali w same usta.  
Ładnie! Ginie wszechświat wszystkich,  
a tutaj, panie, rozpusta.  
Bo również konkretne zdrożności  
przerabiali obustronne —  
i pili kanalje konjak  
i śpiewali  
i na gitarach brzdąkali:  
„Evviva Bologna,  
citta delle belle donne!“

Tu pauza, bo konam z zazdrości.

Kiedy się działy dziwy te  
szalone i nierozumne,  
niestychane, niesamowite,  
cieśla Giovanni Lucco  
bawił się swoją ciesiółką  
i śpiewał i ciosał trumnę;  
śpiewał Giovanni: — „Ciosaj,  
trumno moja, się ciosaj;  
położy się w tobie panna,  
panna o złotych włosach“.

A kiedy ukończył pracę,  
w oliwie umaczał placek  
i jadł pomatu, pobożnie;  
a potem, polityk stary,  
na oczy wdział okulary  
z premedytacją, ostrożnie,  
aby nie pękło włókienko,  
związujące drucik z uszkiem,  
i usta łącząc z cybuszkiem,  
litery popychał ręką  
do gadania niezaprawne;  
znudził się, zamknął warsztat  
i mruczając: — Koniec świata...  
hm... to wcale... zabawne. —  
zasnął pod krzaczkiem w ogródku.  
Śpij słodko Giovanni Lucco.

Ale w szpitalach nie spali  
na sprężynowych łózkach  
i na miękkich poduszkach  
chorzy.  
Tylko krzyczeli, wołali,  
kastali i przeklinali:



— Gdzie są doktorzy?!  
gdzie są ręczniki, spluwaczki,  
wykłaczkki i posługaczki?  
Nam coraz gorzej!  
a my nie chcemy umierać,  
ale się pięknie ubierać,  
wiązać zielone krawaty —  
nie chcemy bandaży i waty!  
P r o t e s t u j e m y!

I coraz ciszej wołali,  
aż w nocy poumierali.  
Na białej, szpitalnej sali  
spokój panował niemy...  
A wtedy przez mały otwór  
wścibił się Astralny Potwór,  
lekarstwa pomieszał i zjadł.  
Tutaj się kończy wizja.  
Na dole przed Akademią,  
w małe zebrane kupki,  
plakały nad biedną ziemią,  
rajcowały miejskie przekupki:

— Czy pani widzi?

Nie widzę.

Toć widać tam i tu:

coś takie idzie  
niedobre.

Szu — szu!

Szu — szu!

Toć widziałam, moja pani,

szło wyraźnie od plebanji,

szło szło

szło szło

To.

W gazecie także stało,

czarno na biał,

O!

Qui

Pro

Quo.

To kara boska...

Coco?

Coco?

A ten kosmos...

Biedna, stara Kosmoska.

Sciemnia się. Pomarańczą  
księżyc wypływa z rzeki,

Drzewa nad rzeką tańczą,  
jak jednonogie kaleki.

I rzeka płynie i milknie,  
— długie — niebieskie — słowo.  
Księżyc wyfrunie, przylgnie  
do drzewa gałązki jak owoc.

Lecz nie pomoże pełnia:  
proroctwo się wypełnia.  
Lecz nie pomoże fala:  
biją dzwony na alarm.  
I król i lud nie pomoże,  
bo robi się coraz gorzej,  
strach się podnosi jak morze.

Chmury po niebie — chmury —  
ociężałe cwałują.  
Idący gniew Natury  
leniwe — zwiastują.  
Ku miastu coraz bliżej,  
ku ziemi coraz niżej  
opadają złowrogie,  
ogromne, wstrętne, ryże.  
U świętego Michała  
dzwony biją na trwogę.  
Bolonja struchlała —  
drży.

Bankierzy, piszcie testament:  
Bóg zburzy banki Bolonji!  
a wy skryjcie się w mysią jamę,  
bluźniercy i masoni.

Widzę nadciągającą Grozę,  
Xsiążę ciemności wbija w biegun rozłopotany  
[szteandar.

Bo sprawdzi się od A do Z  
proroctwo Pandafilanda:

Już sprawdza się, już się sprawdza,  
niespokojne drżą telefony,  
po zwierciadlanej sali  
biega król przerażony  
Hallo! hallo! hallo!  
Czy to ty? czy to ty, Genowefo?  
Tu ja, tu ja — Antonio!

Pomyłka! 405!  
Czy to skład trumien?  
Ach, pan mnie nie rozumie!  
Ja jestem pański zięć  
A konie wystać wieczorem  
Poczta Pinocchio tuzin 15 lir  
Hallo! hallo! hallo!  
Czy to królewska kancelarja?  
To ty, kociaku?  
Warjat!  
Jestem minister spraw wojskowych!  
Sire!  
burzy się proletarjat.  
Jestem gotowy.  
Hallo! hallo! hallo!  
Królu, twój jeden rozkaz  
całe usunie zło  
Jezus Marja!!!  
Hallo hallo hallo.

Więc wojsko wystali na miasto,  
Maszerowało wojsko:

Piccolo-flet tak gwizdał jak kos,  
mocne bębny biły biły tak:  
— Kosmos kosmos ginie minie kosmos  
bujdą skończy się niebborak!

A za wojskiem, zgarbiony,  
dziobaty, zamyślony,  
w okularach, z miotelką  
szedł towarzysz Mydelko  
i miotelką z wikliny  
czyścił ostatnie szyny;  
i coś mruczał pod nosem,  
jakiś tam słowa krztusił:  
— Kosmos, panie kosmosem,  
a porządek być musi.  
A nad tym czyściszyną,  
a nad temi szynami  
gołąb skrzydła rozwinął  
i poruszał skrzydłami.  
A nad gołębiem księżyc  
leciał, srebrząc kominy.  
I tak szli i ginęli:  
gołąb, tamten i szyny...  
Het, na krańcach Bolonji  
cień się tylko pochylał.

I do nich i tylko do nich  
uśmiechnął się Pandafiland;  
i nader idylliczny  
stał się i zaczął marzyć:  
— Mój Boże, jaki śliczny  
proletarjacki pejzażyk.

Tego samego zdania  
Byli Bolońscy poeci:  
Przecież to niestetychane!  
tramwajarz, no i śmieci.  
Zaraz wiersze pisali,  
deklamowali słodko:  
— Choć źle ze światem  
proletarjatem  
pobawmy się jak grzechotką.  
Bawcie się, bawcie, dzieci.

A tymczasem już grzmiało,  
a tymczasem błyskało  
i coś się niedobrego  
wogóle gotowało.  
Nie pomogły przekleństwa,  
różne „porca madonna“:  
Nadszedł kres bezceństwa:  
Świat konał.  
Na bolońskich ulicach  
kołysało się mrowie.  
Zbierali się, radzili,  
jakby temu zapobiec.  
Próżna rada! nie wskórasz  
w dzień ostatniej zagłady.  
Przewracały się biura,  
teatry, kolumnady,  
sklepy, cyrki, świątynie  
i różne ubikacje,  
słonie w zoo i stacje,  
nawet obrazy w kinie.  
A u Giovanni Lucco,  
który zasnął, jak wiecie  
przewrócił się gołębnik  
i gołąb zeń wyleciał  
ten sam gołąb anielski,  
który z tym tramwajarzem,  
gdy Pandafil djabelski  
patrzył w okno i marzył.  
Ale kiedy bieg planet

stał się krzywolinijny,  
uradzono nad ranem  
pochód protestacyjny:

Wszyscy w nim udział wzięli  
mniejsi, więksi i mali,  
czarni, żółci i biali,  
parlamentarni mówce,  
kerawcy i brzuchomówce,  
Szatani i Anieli.

A jeszcze komedjanci,  
a jeszcze policjanci  
i księża i rabini,  
siła, siła narodu.

A na czele pochodu  
jechał rektor na świni;  
z obnażonemi ch...i  
szli ekshibicjoniści,  
transparenty nieśli socjaliści,  
a komuniści  
dynamit.

Rzecz oczywista — anarchiści  
nieśli maszyny piekielne  
masony kielnie,  
a dzieci

wianki z zielonych liści;  
zakamieniali rojaliści  
śpiewali „Evviva il Re“,  
za nimi neopapiści,  
co byli trochę marksyści,  
też śpiewem „targali niebiosą“:  
— Evviva bandiera rossa!

He, he!!

A wszystko składnie i ładnie,  
w porządku, rzędem, gromadnie:  
mitynги, wiece, masówki,  
kukluksklany, bojówki,  
kule dum-dum;  
szły rezolucje, protesty,  
rewolucje i manifesty.

Tłum.

Na samym końcu pochodu  
szły pojednaczki narodów:

Międzynarodówki:

I, II i III,  
IV, V i VI  
i VII!!!

Szła Tęcza,  
Zbawienie świata,  
spóźnione:  
Bo gdy za ręce się wzięli,  
jak dzieci wystraszone,  
zawirowali,  
skamieniali  
i z miliardowej gardzieli  
wyrwał się ryk:  
— Nie chce-my koń-ca świa-ta!  
Na złość się zrobił koniec świata.

Sic!

Kosmiczna zaczęła się chryja  
z całą straszliwą atmo-  
sferą. Vide św. Jan,  
Apokalipsa — Pathmos:  
Słońca zagasty i gi-  
nęły, tonęły w oddali.  
Gwiazdy spadały jak figi,  
a Żydzi je sprzedawali.  
W powyższej anarchji księżyc  
naśladował planety inne,  
znudziło mu także się żyć  
i wskoczył w beczkę z winem;  
dopieroż tam zabulgotał,  
zamlaskał stary opój,  
aż beczka zrobiła się złota,  
aż się na fest utopił.

Wszystko się toto waliło  
kosmiczne przeróżne draństwo,  
aż pękło się, utopilo  
boże, odwieczne państwo.  
Wielka to była chwila  
i tako rzekł Pandafilan:  
— Skończyła się cała panika  
i świat jak łódź bez steru,  
jak potworny kadłub Tytanika  
zatonął w odmętach eteru.

J A T O W S Z Y S T K O S Ł Y S Z A Ł E M  
W N I E B I O S A C H P R Z E Z T E L E F O N  
I W X S I Ę G I Z A P I S A Ł E M  
S Ł U G A B O Ż Y I L D E F O N S .

KONSTANTY I. GAŁCZYŃSKI

Wyrastają na sznurkach z ręki —  
chcą wytrysnąć — o niebo się podrą! —  
chcą wyźłobić kamienny błękit  
kolorowe krople winogron. —

\*

Trzymaj! — W górze... och, wiemy już! — Znamy! —  
tam samotność — tu cień na chodniku —  
Z tłumu oczy podobne kochanym  
można nieraz do ręki swej przykuć.

\*

\*

W szynku noże błysnęły — o Nią —  
zakołysał się cień — i zginął —  
Wieczór domy zasłania — dłonią,  
grając z niebem partję domino.

ALEKSANDER MALISZEWSKI

## I

W hali fabrycznej, mrozem błękitnym oszklonej,  
 Szumi las wysokopienny, zielony.  
 Młyny górskich potoków miałą bezustanku  
 granit, porfir, bazalty i srebro poranków  
 Na czarnoziemną mąkę, na tłustą próchnicę.  
 I sypią pył z pod chmur na góry, wzgórza i kopice.  
 Wentylator ssie czyste powietrze z północy  
 I srebrna lampa świeci u stropu co nocy.  
 Tu pszczoły, mrówki czarne, czerwone i rude  
 Obrabiają surowiec wielostronnym trudem.  
 A poplamione słońcem w malarni motyle  
 Malują w chińskie kwiaty zszargane badyle.  
 Świerki pompują smary, pachnące smolście,  
 Żywicą okapując leszczynowe liście.

To najsejniejszy oddział — tu po każdej zmianie  
 Żaby swe gardła płóczą zielonem kumkaniem.

## II

W hali fabrycznej mrozem błękitnym oszklonej,  
 Szumi las.  
 I czas przybiera groźnie, rozrasta się w drzewo,  
 W śmigłą świerczynę, w rzekę, opitą wiosenną ulewą,  
 W młot parowy, miarowo dudniący w kowadło,  
 W kuźnię, płonąca błędnym ogniem na mokradłach.  
 Tu pracują kowale hardzi, nieustępnici.  
 Tu ziemia rozdzierana tętni. —  
 Mają mięśnie, plecione z żelaznych ruszowań,  
 Ręce-dźwignie, palce-kleszcze stalowe,  
 Barki — w skrzydła stuorle rozpięte,  
 I szlaki niewidzialne w powietrzu wytknięte.  
 Olbrzymia kula ziemi pod ich młotem trzeszczy,  
 Rozżarzana przez słońce, hartowana deszczem,  
 Pocięta piorunami, świszcząca w tokarniach,  
 I parująca wichrem, który ją ogarnia.



Jej czaszkę tysią, lasem porośniętą gęstym,  
Uklepią, ukształtują ciężkich młotów chrzęstem,  
Spilują pilnikami, wygładzą, rozżarzą,  
Wypolerują gładko i dokładnie zważą.  
A potem ją wystrzelą po wiadomych torach i drogach  
Prosto w Boga.

### III

W hali fabrycznej, mrozem błękitnym oszklonej,  
Płynie czas.  
Rozlewa się leniwą rzeką na drodze gwiazdami moszczonej.  
Tu jest centralna kuźnia, odlewnia i huta,  
Walcownia blach najgrubszych, najcieńszego drutu.  
Tu dzwonią księżycowe tarcze pod młotami,  
Meteory pryskają nad glinianym garem,  
Kapią jarzące słońca białymi kroplami  
W cebry wody, syczącej od żaru.  
Rozżarzone atomy kłębią się w mgławicach,  
W rozwianych grzywach komet złotem próchnem świecą.  
A twarde kule planet, wystrzelone z armat,  
Studzą się w zimnym lśnieniu zorzy polarnej.  
Dudnią młoty wulkanów w blaszane skorupy  
I wylatują w niebo ziem zziębniętych trupy.  
A pasy transmisyjne od słońca do słońca  
Warczą.

### IV

W hali fabrycznej, mrozem błękitnym oszklonej,  
Szumi las.  
Szumi czas.  
Cieknie leniwa rzeka wszelkiej rzeczy.  
Miljon żab wieczorami skrzeczy.  
A w roztopione złotem zachody,  
Kiedy słońce chmurami twarz z potu ociera,  
Szczurotań z cienkim fletem błąka się po halach,  
Gra słodko, nawołuje i szuka w błękitnych, oszklonych oddalach  
Głównego inżyniera...

WŁADYSŁAW SEBYŁA

*Tylko raz krzaki stają w białym śniegu kwiatów,  
oczy są fioletkami,  
a wiatr głaszcze — i pachnie włosami,  
wiosennem ciepłem wieje od dalekich światów.*

*Wtedy burze są szczęściem, a słowa — muzyką,  
a śmiech jest błękitnem niebem.  
I oczami są zielone gwiazdy,  
największemi smutkami odjazdu,  
a marzeń niespełnionych ból — powszednim chlebem.*

*I niemasz wtedy mocy, coby się oparła  
nocy,  
trylom płynącym z słowiczego gardła,  
i ciszy pachnących warg.*

*Bo oczy są fioletkami — i niebem,  
a wiatr pachnie suchemi włosami.  
I pod powiewem dalekich, błyszczących światów  
zielone krzaki stają w białym śniegu kwiatów.*

WŁADYSŁAW SEBYŁA

Μη τις ἀχόρευτος εἰσῆτω

To nie milion złotych węży, zapatrzonych niemo w księżyc,  
rozkołysał lby  
w takt  
fle-tu fa-ki-ra.

To przygiętych wiatrem-taktem kregostupów las się pręży,  
to wypręża się potężny mężczyzn bór i z lędźwi dębów  
leci kora czarna skóra, fosfor stacza się po barach  
w wirach.

To rozciętych ostrzem taktu milion rubinowych pachwin  
kręci się w świetlistym kręgu, wzbiera trójkątami ton.  
Jedwab ciągnie się na piersiach, lgnie, przykleja się do pachwin,  
miętko kładzie się po linjach ud; jest panika i strach w nim.  
Szumi, niesie się szalony szept falami różowemi,  
leci wiatr różowych iskier, dmie, przeciąga tuż przy ziemi,  
bije w okna, gnie powiewne prostokąty szklanych błon,  
z trzaskiem okna te wyważa z cennych ram i noc obnaża:

Wielka plaża; chmur atramentowe zwały; wydmy, widma.  
Wśród płaczących sennych zatok srebrny błąka się lunatyk,  
półprzymknięte, szkliste oczy ma i włosy pełne gnid ma.  
Przypłył falą o brzeg chłosta, wre w gnijących wodorostach,  
srebrne kładą się potwory na piaszczysty brzeg, i zgrają  
wyją, i na fiszbinowych szczękach grają, i ziewają:  
morskie koty, kaszaloty. Niewiadomo skąd przyniosła  
fala te żyjące miękkie łodzie, z pletwą zamiast wiosła.

LUCJAN SZENWALD

*Złota jesieni, pełna obfitości,  
Bądź pozdrowiona!  
Śpiewasz jabłecznej poro rumianości,  
Muzo natchniona!*

*Siedzę w ogrodzie. Szumi dąb stuletni.  
Słońcem złocony.  
Daleko mądry Pan wyciska z fletni  
Zwierzęce tony.*

*Jasne powietrze drży od dobrych muzyk,  
Trąca topole,  
I czuję palce wielkiej, silnej muzy  
Na mojem czole.*

*Piękna i silna, ale niedrapieżna,  
Szlachetnie mocna,  
Śpiewa z mem sercem młodem ściśle zbieżna,  
Wierszom pomocna.*

*O, taką muzą była smagła, ostra,  
Mocna i młoda,  
Potężna muza, miłosierna siostra  
Jana Rimbaud'a.*

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

*Poznałem was, tragiczne żarty efemeryd,  
Boście zaczarowały moje dni i noce,  
I otworzyłem okno na ogród hesperyd,  
Gdzie ciężkiem i dojrzałem szczęściem są owoce.*

*Tancerki smukłoude, zlekka w tył przegięte,  
Tam pośród drzew tańczyły o wieczornej porze;  
Widziałem tam wróżbitów i zwierzęta święte,  
I wieże, nad którymi płyną łodzie-zorze.*

*I odtąd rwę się — pielgrzym — do innego świata,  
Gdzie wszystko jest kuszące, piękne i młodzieńcze,  
I odtąd mgłę za siostrę, smutek mam za brata,  
I czoło melancholją nieskończoną wieńczę.*

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

*Potrzykroć bądź pozdrowione! o, miasto szynków i katedr,  
ostrych, gotyckich krużganków i długich schadzek z księżycem,  
ciche asilum romansów i fałszerstw, tajonych przed światem.  
Pozdrawiam śpiące na wieżach gotłbie i księżyc w ulicy.*

*Pozdrawiam lutnie, grające w liljowe zmierzchy wieczorne  
i szpady twoich śpiewaków, i flet smutnego studenta;  
pozdrawiam mnichów rubasznych i ciche służki klasztorne,  
przekupniów fałszywych relikwii i złotych, woskowych świętych.*

*Witam z radością gospody w ciemnych zaułkach za murem,  
gdzie topią swe melancholje mordercy — w stągwiach rzeźbionych,  
i wieże twych astrologów, i schody, kręcone w górę,  
alkierze twych alchemików i w cieczech tające się zgony.*

*Powracam w dawne uliczki i stukam w stare kołatki,  
i widzę tamtych przyjaciół z Pod karpia u bramy Aniołów,  
a oto i plac Lunatyków, gdzie parzą się nocą gamratki,  
i tamta, tamta ulica — kotów płynących na połów.*

*Na lnianowłosą Małgoşkę zaczekam, aż przyjdzie, u studni:  
postawi konew bukową i zajrzy w dzwoniące dno wody.  
Niech ją powitam słodkimi słowami: dobre południe!  
chwaląc jej lic ogorzatych gładkość — i w piersiach urodę.*

*A gdy noc w okna się schyli — i suche drewna w kominie  
trzasną czerwonym płomieniem, jak ślepie kokosz do kura,  
z mym przyjacielem Konstantym na zydlach skórzanych, przy winie  
snuć będziemy powieść prawdziwą o panu Osietku, co umarł.*

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI

*Zabelkotało śmiechem w wydętych bebeczach,  
aż się zatrzęsa broda winem umazana  
i rudy łeb wychynął zmierzwiony jak wiecha —  
najdostojniejsze lico płasającego Pana.*

*Natenczas sto gardzieli, sto gardziotków wrzasto  
i sto zielonych tyrsów trysto ponad głowy:  
stanął Pan pośród koła i dał ręką hasło  
na poetowe gody, na dzień marchołtowy.*

*Zawrzało na gest boży w winnych latoroślach  
i jęły się obnażać rozpasane dziewczki...  
Siadł mistrz Leon z Ryszardem i na szczęce ośle  
zawtórował jazz-bandem do frywolnej śpiewki.*

*Księżyc srebrzył powoli, załkały gęśliki,  
dzwoniły krople rosy po runiastych błoniach  
i leciały Mazowszem bezwstydne okrzyki:  
Co za bayzel w winnicy! evviva Bolonia!*

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI

PAMIĘCI EDWARDA KWIATKOWSKIEGO

*Jeszcze raz spójrz przez okno, nim i okno zgaśnie:  
niebo od gwiazd takie ciężkie i gwiazdy tak drżą — jak ptaki,  
w mglistej pustce wieczoru i zimno, i ciemno i strasznie,  
a krople potu na czole gorące jak krople laku.*

*Okno podobne do oka — nieruchome, zielone i martwe,  
ulica gaśnie i wsiąka w mgłę, w siną plamę wieczoru;  
teraz nie patrz, ustawiaj domki z pociętych kartek,  
ostrożnie kładź kartkę na kartkę — powoli, dokładnie, z uporem.*

*Spójrz jeszcze: idzie człowiek schylony ku ziemi,  
staje i dłonią na mury kładzie plamy światła złotego,  
a wiatr je z muru ściera chłodnymi palcami,  
ten wiatr, co zwala domki — ten wiatr — — dosyć tego! — —*

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI



*Za błąd w rachunku świata  
ukryty krzyżuj się, jako i my,  
przez całe wieków lata  
cierp, jak i my cierpimy.*

*Niech we dnie cię noc otoczy —  
i wtedy końca niech nie będzie tobie,  
i niech ci się położy na oczy,  
jak biała dłoń anioła — rozświetlona topiel.*

*A jeśli wtedy jeszcze zabraknie ci czego  
do twojej wiecznej chwały,  
to uproś sobie u siebie samego  
o ból, od tego bardziej doskonały.*

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI

*Palily się we mnie wizje  
trzynastowymiarowe —  
zanim zacząłem tworzyć,  
traciły nagle mowę.*

*Kładłem fałszywe barwy  
pod czerwiec i listopad  
i pod prawdziwe niebo  
dawałem fałszywy kobalt.*

*Obrazy me urojone  
przejaskrawione sangwiną  
będą was ścigać po nocach  
ciemną ultramaryną.*

*Płomienne wschody, zachody,  
sferyczne nieba półkule —  
chowam ich sens kolorowy  
w siebie — głuchą szkatułę.*

*Wybaczcie mi, dobrzy ludzie,  
że was oszukiwałem —  
ale ktoś wszystkich oszukał  
podstępny ideałem.*

*Odśłońcie okna, mili,  
nadchodzi na mnie pora;  
niech wejdzie teraz śmierci  
oplotu ciepłego oranż.*

*Zaczekam o, przyjaciele,  
na was po tamtej stronie,  
a potem pójdziemy razem  
w kolory nieskończone.*

MARJAN MARKOWSKI

*Trzy kroki wszerek,  
 Trzy kroki wzdłuż.  
 Krok za krokiem  
 Celę ciął.  
 Krok za krokiem  
 Plecy giął.  
 Trzy kroki wszerek,  
 Trzy kroki wzdłuż.  
 Klatka-zwierz.  
 Trzy kroki wzdłuż.  
 Okno — kraty — świat.  
 Lato, jesień — znów.  
 Krok za krokiem wślad.  
 Gmach ma tysiąc cel.  
 Świat ma milion gmachów.  
 Wszędzie drodzy ludzie.  
 Trzy kroki wszerek,  
 Trzy kroki wzdłuż.  
 Wszędzie pełne cele.  
 W celi cały świat.  
 Trzy kroki wszerek  
 Trzy kroki wzdłuż.  
 Usta krwawi krew,  
 Ręce łamie ból.  
 Ręce szarpią kraty.  
 Potem znów.  
 Trzy kroki wszerek.  
 Szaleństwo!*

ANDRZEJ WOLICA

## OPOWIADANIE ROZMIARA.

Piszę do Ciebie ostatni list. Teraz nikt już więcej nie dowie się, że mam matkę. Nikomu nie powiem słówka o tem, że Ty istniejesz. Pisząc do Ciebie, pisałem dla ludzi. Pomiędzy nas dwoje wcisnęły się obce ręce i poszarpały niewiadomą Ci prawdę. Oto mój ostatni list, który po napisaniu sam podrę i rozrzucę po lesie, kiedy będzie wiał ogromny wiatr. I już nigdy nie będę z Tobą rozmawiał inaczej, tylko tak, aby nikt tego nie mógł zauważyć.

Oto z oddali ukazują się ludzie, zmierzający ku izdebce. Siedzę przy oknie i widzę ich między sosnami. Chowam szybko list do Ciebie jaknajgłębiej do szuflady. Popaduje drobny deszczyk. Dziwi mnie to, że robotnicy idą ławą, spokojnie, równo. Doszli do wejścia i sionka zaroiła się ludźmi, z których większość wtoczyła się do kantorka. Poumieszczali się po kątach, gdzie kto mógł, w milczeniu, bez słowa. Na dworze pryskał rzadki, drobny grad. Wyjaśniło się jeszcze bardziej, o futryny objęły się, daleko odskakując, ziarenka lodu. I nic więcej.

Poco oni tu przyszli w takim razie? I siedli? I milczą? Powiadam:

— Czegoście uciekali? Przecież prawie wcale nie pada. Przeszkadzacie mi tutaj w obliczeniach.

Spojrzeli na siebie i nic nie mówią. Zapalają papierosy. Drugi — trzeci. Patrzą uważnie w dym, a co i raz któryś rzuci okiem na mnie i zaraz szybko opuści wzrok. Siedzą dalej, mimo że już prawie wcale nie pada i zrobiło się zupełnie jasno. Mówię:

— No, czegoż siedzicie? Idźcie sobie stąd!

Ale oni bez ruchu, starsze chłopcy. Kilku chłopaków zostało w sionce i przez próg zacierają głupawo do środka. Ode drzwi ruszył się stolarz Rozmiar i siadł na stołku, który sobie wysunął z pod stołu na środek izdebki. Podłubał palcem w nosie, patrząc w ziemię, i kichnął, a potem —

na tłum przesuając wolno głowę, osadzoną na grubym karku. Jakby sprawdzał twarze, ale wszystkie one są nieruchome, zapatrzone w jakieś dalekie punkty, tylko usta wypuszczają mechanicznie kłęby dymu. Co to znaczy? Już chcę na nich coś krzyknąć, ale wtedy Rozmiar nagle niskim głosem:

— Ojciec mój nie miał ani ojca, ani matki. Umarli mu, przynajmniej tak powiadał, ale kto to sprawdzi — nikt. Dlatego też się wcześniej ożenił. A ja się urodziłem zanim stary umarł. Jeszcze zdążyłem, ale ledwie — ledwie. Potem to już była tylko matka. I to wystarczyło, ale tylko mnie, bo często mówiła, jak podrośłem i miałem więcej rozumu, że jej bardzo ciężko bez męża. Ale mnie tam był niepotrzebny, aby tylko ona żyła. Chodziłem do stolarza, gdzie pilnowałem dobrze warsztatu, bo byłem pracowity, co mi do dnia dzisiejszego pozostało.

I powiódł ciężkim wzrokiem po obecnych. Miał twarz nieruchomą, zastygłą, bez względu na to, co mówił. Chwilę milczał, a potem powtórzył, jakby kończąc:

— ...bo byłem pracowity, co mi do dnia dzisiejszego pozostało.

Nikt się nie odezwał. Bień zawijał kapciuch z tytoniem i uśmiechał się. A Rozmiar tymczasem dalej:

— Jadłem na miejscu obiad i do domu wracałem dopiero wieczorem. Zaraz kładłem się spać, a rano znowu do warsztatu i tak cały tydzień. Tylko tyle co w niedzielę rano byłem z Nią, bo po obiedzie fruwałem z koleżkami po ludziach. A matka była sama i często płakała. Żeby ją pocieszyć (a było to po półrocznym terminowaniu), zrobiłem jej warząchiew jak się patrzy, ale to niewiele pomogło. I tak się pchało dzień za dniem. Warsztat pachniał wszystkim drzewem, to w powietrzu robił się taki coctail z dębu, sosny, czy grabiny. Lato było gorące, a tam chłód — tylko heble syczą, pocierając o deski. Wióry są poskręcane, a przecież to podarte drzewo. Tak — stolarka to brak miłosierdzia nad drzewem. Ale tego nie rozumiałem wtedy, bo byłem młokos, a teraz chociaż i rozumiem, to się oswoilem z tem. Tak do wszystkiego można się przyzwyczaić. Uczyłem się też czytać i pisać, a jakże, bo w mieście była szkoła wieczorowa — i to mi się przydało później. Ho! ho! —

Odsapnął. Na dworze zupełnie jasno — nawet słońce. Już czas do roboty, ale nie chcę przerywać opowiadania, bo mnie ciekawi, co to wyniknie z tego wszystkiego. Bień ciągle odwija i zawija kapciuch i uśmiecha się, jakby nie wierzył, co tamten opowiada. Reszta milczy wyczekująco. A Rozmiar skubnął się w nos paluchami, wciągnął coś do środka, pomedytował jeszcze — a twarz ciągle bez zmiany — i swoje:

— Kiedy skończyłem terminować i zrobiłem komodę na mahoń, to mówię do majstra: „Panie majstrze, jadę“. — „Dokąd“ — pyta się — i heblem cieniuśki wiórek, ot jak włos, zdarł z deski. „Do Ameryki“ — odpowiem, a on przestał robić, tylko się zaśmiał. A twarz miał, powiadam wam, jak z lipowego drzewa: dobrą słoneczną. Potem pochylił się, znów wiórek oddarł, dmuchnął w hebel i coś palcem w nim podłubał. — „Tylko zrobię pięć szaf, pięć komód, trzy biurka i dwie sypialnie“ — wykończyłem. Spojrzał znowu na mnie:

„A co uczynisz z jedną matką?“

„Zostanie, będę jej pieniądze przysyłał“ — i potrząsnąłem płową czupryną, a on nic nie odrzekł. I tak się stało. Wyjechałem i nie było mnie tutaj dwadzieścia pięć lat.

Znów się zatrzymał i palcami szczypnął w nos, a potem dłońmi uderzył z hałasem w rozstawione szeroko nogi. Powtórzył:

— ...dwadzieścia pięć lat. Kawał czasu. —

I po wszystkich oczami, ale nikt nawet nie drgnął i twarze były bezmyślne, jakby każdy myślał o czymś zupełnie innym, dalekiem. Nawet oddechów słyszać nie było — taka cisza. Lecz patrząc dłużej w gromadę, można było dostrzec, że wszyscy słuchają tylko tego, co on powiada.

— No i co? no i co? — pytam. A Rozmiar patrzy na mnie, to znowu na tłum i powoli ciągnie dalej:

— Pojechałem i nie było mnie dwadzieścia pięć lat, a kiedy wróciłem, to matki mojej nie stało już na tym świecie. Umarła w dwanaście lat po moim wyjeździe. Mówili mi, że bardzo tęskniła za mną, a ja przysyłałem jej tylko raz na pół roku długi list i sto dolarów. Pracowałem w fabryce wagonów i dobrze zarabiałem. Po angielsku nauczy-

łem się prędko, bom swój język w czytaniu i pisaniu dobrze znał. Byłem młody i przystojny.

Po tych słowach przesunął oczami po wszystkich twarzach, jakby sprawdzając wrażenie.

— ...i przystojny. To też swatali mnie z niejedną. —

Spojrzałem na gromadę: na twarzach były jakieś drobne, niejasne, pełne radości uśmiechy. Bień nawet zupełnie się śmiał — tylko nie radośnie, a złośliwie. Nie wiem dlaczego w jego twarzy było tyle drwiącego wyrazu. Ale to mniejsza. Mówię szybko do Rozmiara, gorączkowo:

— I co dalej? i co dalej? —

A on:

— Pierwsza — to była młoda dziewczyna — może ze szesnaście lat, ale jej nie chciałem, bo blada. Zaraz potem umarła. Druga — to wdowa, zawieszista baba, miała swój własny saloon. Jeść było co, a i popić, jak to zwyczajnie przy saloon'ie — niby naszej piwiarni. Whisky and soda — soda and whisky, likiery, koniaki, piwo i... — tu znów powiódł oczami po tłumie, a ja za nim — i czysta. —

Twarze były teraz jasne jak słońce, bez uśmiechu, ale dziwnie wypogodzone. Nawet Bień nie miał złośliwości w oczach, tylko sam uśmiech i spokój, cichą, dostojną radość. Na słowo: „czysta“ tłum jakby się zakolebał tam i z powrotem i znowu znieruchomiał. Przetarłem oczy — było to wszystko jakieś niejasne, — spojrzałem na Rozmiara. Spokojny, jak zawsze, prosto, bez zawilości w twarzy i słowach. Mówił dalej:

— Wszyscy ją szczypali, tylko ja tego robić nie mogłem, bo byłem narzeczony dopiero, jak mi tłumaczyła. Inni mogli to robić, a kiedy się oburzałem, to słodko wyjaśniała, że to business, a każdy business musi się opłacać, inaczej nie warto się trudzić, a mnie to nie opłacało się. Powiedziałem wszystko, co myślałem. Płakała, ale jak poszedłem, to więcej mnie nie ujrzała. Sądziła, że może na jej „saloon“ leczę, a ja miałem swego dość. I właśnie w tym czasie wysyłałem do matki list długi, obszerny i sto dolarów. Było to po raz pierwszy. Taki list pisałem kilka tygodni, poprawiałem go, przekreślałem, aż wreszcie kiedy był gotowy, poszedłem do biura przepisywania na maszynie. Pokoik był mały i jedna panienka trzepała po bia-

łym arkuszu papieru czarnymi literkami. Mówię: „Good Morning“, a ta się obejrzała, rzekła to samo, co i ja, a potem znów po maszynie. Siadam na krześle i czekam. Kiedy skończyła ten arkusz, zapytała, czego chcę. Wyjaśniłem, że niby list. Dobrze, ale zaraz okazało się, że po polsku nie umie, a ja też o tem nawet nie pomyślałem przedtem. Pociężyła mnie mówiąc, żebym przyszedł nazajutrz rano, to jest w niedzielę. Będzie wtedy jej koleżanka, co z nią mieszka, a tamta to po polsku rozumie. Poszedłem tam na drugi dzień. A tamta mi przepisała list, nawet podpis przepisała na maszynie, bo się uparłem, żeby wszystko było all right. Wyśmiała mnie za to, chociaż listem była wzruszona, nawet spłakała się, niby że to ja tak matkę swoją kocham, i pieniądze przesyłam, i pamiętam.

Tak poznaliśmy się. To była trzecia. I rozstaliśmy się i nie ożeniłem się z nią, chociaż najbardziej mnie lubiła ze wszystkich, jakie znałem. A żartobliwa była, ho-ho-ho. — Pamiętam, na bulwarze, w biały dzień za nos pociągnie, albo w restorancie gorącą łyżeczkę od herbaty do ręki mi przytknie. Ale potem przestała, bo mnie to nie parzyło. I zupełnie nie była obraźliwa, jak tamta wdowa. Ona mnie za nos, a ja w chwilę potem butem na jej stopę. Tylko że nigdy nie można było jej przydepnąć, taka sprytna, — a ja wciąż chodziłem z nosem czerwonym.

W gromadzie trochę się uśmiechano, ale Rozmiar miał twarz równą, spokojną. Zapatrzył się w ziemię, a po chwili znowu uderzył rękami po udach:

— Potem to jednemu maglarzowi robiliśmy magle: ja stolarską robotę, a elektrotechnik instalację. Obaj byliśmy kawalerami, a maglarz miał dwie córki, co przy tych maglach robiły. Skończyliśmy robotę rychtyk w piątek, a stary nam mówi, żeby przyjść w niedzielę, to popijemy sobie. I tak się stało. Z początku wszystko szło dobrze i maglarka nam basowała, że to córki ma zdrowe i robotne. Ale wkońcu, pod wieczór, oboje maglarze byli pijani: on spał na stole, a ona pod kominem, ja też miałem w czubie, ale jeszcze trochę siły w nogach, więc wyszedłem do izby, gdzie stały magle. A tam ciemno, tylko w świetle od okna elektrotechnik stoi z dziewczynami przy instalacji. Zapaliłem światło, chociaż to nie mój fach, a jęgo i wyszedłem. I tak



oto miałem dużo narzeczonych: może ze dwadzieścia. A to wszystko przez te listy, które słałem od matki. Już, już miałem się zenić, a tu trzeba list pisać, więc puszczam moją miss i przez dwa miesiące męczę się nad arkuszami papieru i nie przeżywam po raz drugi wszystkiego, co przez ostatnie pół roku minęło, przeszło, ale na nowo żyję tem samym, tylko inaczej, lepiej, chociaż się więcej męczę i cierpię.

Przestał mówić. I znowu w podłogę się zapatrzył, z rękami na szeroko rozstawionych nogach. Na dworze przyskała drobny deszczyk i świeciło słońce.

— I tak przez dwanaście lat, co roku, miałem dwie albo i trzy narzeczone.

— Ho, ho, — jakiś głos — pewnie i murzynkę mieliście, co?

— Jakbyś wiedział. — Rozmiar spokojnie w tamtą stronę.

— A jaka ona? czarna cała? — pytał dalej głos i coś jeszcze dodał, ale co, nie zrozumiałem dobrze, tylko wszyscy śmiali się bardzo, aż huczało. Myślałem, z czego oni się śmieją. Z Rozmiara, że był dobrym synem? To barbarzyństwo i wstyd! Już chciałem krzyknąć na nich, ale kiedy spojrzałem na Rozmiara, zresztą mimowoli, to na jego twarzy malował się taki spokój i radość, że powstrzymałem się.

Znowu powiódł oczami po wszystkich. Uspokojono się trochę i jeszcze w gwar wmieszał się jego równy głos:

— Dwadzieścia cztery narzeczone, dwadzieścia cztery listy, dwadzieścia cztery razy po sto dolarów. Potem matka umarła i byłem tam jeszcze przez trzynaście lat. I przez te trzynaście lat nie miałem ani jednej narzeczonej, nie napisałem ani jednego listu i ani stu dolarów nie oszczędziłem. Nic — nic — nic.

Zatrzymał się chwilkę i tym samym głosem wykończył, głęboko westchnąwszy:

— Budowałem matce mojej pomnik!

— Ho, ho, — Bień, ale Rozmiar jakby nie słyszał.

— Jest tam jedno miasto, mniejsza z tem jak się nazywa. I w tem wielkiem mieście znajduje się plac taki rozległy, jak ten las, a gładki, jak posadzka w kościele. Ho, ho — taki rozległy, że z jednej jego strony ledwie widać

domy po drugiej i to w dzień pogodny, bo jak mgła, choćby lekka, to nic nie widać, tylko przestrzeń. Plac kwadratowy, a domy wszystkie po czterdzieści pięter — żaden mniej, żaden więcej. Beton i żelazo. Kamień. W tych domach mieszkają co najbogatsi ludzie. I ja tam mieszkałem.

— Ho, ho — Bień znowu.

...bo chociaż byłem niebogaty, ale dobrze zarabiałem i umiałem żyć.

Ktoś jakby się zaśmiał, ktoś jakby syknął — pewnie z ciekawości, a ja do niego:

— No i co? no i co w tem mieście?

A on — nawet nie spojrzawszy na mnie:

— I tam, na tym placu postawiłem mojej matce pomnik.

— Co, na tym placu? — padło z paru stron.

Kiwnął głową.

— I pozwolono wam? — spytałem.

— Ja się nie pytałem, tylko pracowałem, jak koń. A tam kto pracuje, to wszystko mu wolno, uważają go za świętego, albo jeszcze lepiej. W miesiąc pomnik miał sto metrów wysokości, z czego trzydzieści w fundamencie. Żelazo i beton. Kamień. A robiliśmy tylko w dziesięciu, bo tam ludzie nie tak robią, jak tutaj.

Rozmiar podobał mi się. Był taki spokojny, a przecie postawił pomnik swojej matce. Czego tamci patrzą, jak głupi, i nic nie mówią.

— I co dalej? A na drugi miesiąc? — i przysuwam się bliżej do Rozmiara.

— Co dalej? — jakby do siebie, a po chwili namysłu, plaskając dłonią po udach: — no, ma się wiedzieć, drugie sto metrów.

— A na trzeci?

— Jeszcze wyżej na trzeci, — powiedział spokojnie. — Nawet przeszkadzano mi z zazdrości, ale się nie dałem.

— Pobił ich pan?

— Tak. Kopnąłem w brzuch, zboksowałem, i już, all right, wszystko.

— Wspaniale, świetnie! — wołam. Ale za mną śmiech.

Obracam się. Twarze ludzi robią się surowe, usta przygryzione zębami. Co oni sobie myślą? Kpinki stroją? Ale

moje oburzenie na szyderstwo przerywa głos Rozmiara, równy, spokojny, twarz bez wyrazu.

— Tam tylko siła i moc coś znaczą. Kiedy pomnik kończyli, to ja toczyłem własnoręcznie wielką gałkę z dębowego drzewa. A dęby, trzeba wam wiedzieć, są tam pięć, albo i dziesięć razy większe, niż u nas. I pozłocić kazałem oną gałkę, a potem umieściłem na szczycie pomnika. To był kamień węgielny, który nie w fundamencie, ale właśnie na szczycie zawarłem. A w pośrodku tej gałki zamknąłem wszystkie listy moje do matki, w odpisie, bo zawsze w dwóch egzemplarzach kazałem je przepisywać na maszynie.

Pochylił głowę, a mnie coś ścisnęło za gardło i łzy nabiegły do oczu. W tejże chwili olbrzymi wybuch śmiechu rozległ się w kantorku. Obejrzałem się i przez łzy ujrzałem, jak Bień i stare chłopcy ryczeli ze śmiechu, leżąc prawie na ziemi. Wszyscy byli czerwoni, jak buraki, i oczy im wyłaziły z orbit. I chłopaki, stojące koło proga też. Tylko Rozmiar siedział nic nie mówiąc, bez ruchu, z głową spuszczoną, że twarzy nawet nie widać. Chwilka ciszy i nowy huragan okrzyków. Głosy huczą, aż szyby drżą. Co to znaczy? Z czego oni się śmieją? Że tak matkę swoją kochał i pomnik jej budował? To wstyd! Ocieram resztki łez z oczu i wyskakuję na środek.

Krzyczę im w twarze:

— Wstyd! Wstyd! Jak się możecie śmiać z cudzego serca, z dobroci!?

Nowy wybuch huraganowego śmiechu.

Ludzie tarzają się po ziemi, nie zważając na to, co mówię. Przeciwnie, każdy mój okrzyk wzbudza nową wesołość, a ja wkońcu staję bezradny pośród tej rozswawolonej gromady. Zaciskam pięści i chcę rzucić się na kogokolwiek. Szukam oczami.

Możeby tak na Bienia.

— Już.

Nagle, niewiadomo czemu, oglądam się na Rozmiara. Siedział ciągle jeszcze ze spuszczoną głową — tylko niżej i drgał kurczowo, jakby łkał, czy krztusił się. Podbiegam do niego i ręką chcę za ramię, ale on powstaje, obraca się do okna, i nie pokazując wcale twarzy, wychodzi.

Za nim inni.

Przez okno widziałem, jak gromada od czasu do czasu przystawała, ktoś coś mówił, pokazywał ręką w moją stronę i słychać było nowy ryk śmiech, aż echo szło po sosnach.

Przecieram oczy, które zachodzą mi jakąś mgłą. Oglądam się. Niema nikogo. Wychylam się za okno: pusto. Nie, tutaj nie było nikogo. Jestem i byłem sam. Ani Rozmiar, ani Bień, ani Adam. Nikogo. Przedemną na stole list do Ciebie. Tylko on jest, nieistnieje, bo nawet Ciebie niema. Przecież gdybyś była, tobym nie potrzebował pisać listów do Ciebie.

STEFAN FLUKOWSKI

Młoda jeszcze Trochymka, żona kowala, zmęczonemi oczami patrzyła przez brudne szyby na świat szeroki, daleki.

Oczy jej biegały po wzgórzach sypkiego piasku, porośłych gdzieś kępami trawy.

— Jaki tam musi być szerokachny świat... — pomyślała.

Na kolanach jej oparta rozkudłaczona głowa. Trochymka chwilę szuka we włosach i znowu patrzy przed siebie.

— Jaki tam musi być inakszy świat...

Głowa oparta na kolanach poruszyła się niecierpliwie.

— Mamo, adyc tu me gryzie, — i wysunął się brudny palec ukazując miejsce.

— Mamo! — znowu ten sam głos przerwał ciszę i myślenie Trochymki.

— Cichoj! Obudzisz Michała. Mało to gamby nader?...

Trochymka przestała szukać we włosach. Zatopiła się całkiem w myśleniu, patrząc na te wzgórza piasku, co to co roku jej posag coraz bardzi zasypują. Już jeno morgów sześć ostało na ziamnioki, bo żyto na nich takie, jakby je nie człowiek siół, ino wiater sadził na śmichy ludzkie — tako rzadzizna.

— Gdyby to jenszy chłop — westchnęła — posadziłby jałowcu, łogrodził, ziamie nawoził. Toć przy ty kuźni mogłaby jenszczek na świat śmieli spojrzeć i być panio...

— Gdyby to jenszy chłop... Ale jeno mu rajce we głowie... Wódka i tabaka aże śmierdzu od niego, a kiej usmolóny wewali się w pościel, to ju dla jej proc nima żadnygo zmiłowanio... A obraży boski ile?... Owe klontwy, co to mu ciengiem na ozorze siedzu...

— Mamo!

Rozbudzona z myślenia, rozejrzała się po kuchni. Już

szarzało. Słońce poszło za te piaszczyste wzgórza, a tu jeszcze kolacyja nie zwarzona i tak sie jakoś dzisiaj ciengiem zamyślała bez nijakiego wytłumacznio.

— Mamo!!

— Pódzi! — odepchnęła od siebie dziewczynę, której głowę trzymała na kolanach. — We łbie to mosz cheba fure piochu!...

— To mi Felek Gawrych nasypoł.

— Ociec zaro przyńdzie — trza ogiń przegarnuć.

Trochymka ciężko wstała. Wszystko ją bolało, a najbardziej we krzyzie.

— A tu już może jutro przyńdzie — pomyślała — Boże, Boże!...

— Mamo, Gińka dzisiaj...

— Co dzisiaj?... Już ty matce żyć nie dosz i ciengiem mamu, mamu.

— Gińka ze Frankiem naszym naleźli we stodole takie maciutkie myszy i poszli do nauczycielowigo śpichrza i porzucali do dziżek z mlykiem.

— O, Jezusie Nazareński!

— A Franek to jeszczek wyjun kranik i naloł w kierzynkę nauczycielowo.

— O ścierwy! o zatracone! Zawołejno Gińkie. A gdzie Franek?

— Przeciun ojcu kozikiem miechy i takie dostał lonie, aże do brzezinki polecioł.

— A żebyśta zatracone siubry roz zmarniały!...

— A Ginka...

— Co Ginka?... Weź lepi Ignaca — przerwała — niech sie w pomyjach nie brzechce.

— Póde po Ginkę...

— Weź Ignaca, pedziałam. Jak ji sie żryć zachce, to sama przyńdzie. Gdzie sie znok zapodiał Walek?

— U babki na blasze kartofle piecze.

W kotysce rozdarł się dwuletni Michał, aże Trochymkę poderwało. A tu jeszczek na utrapienie w oknie mignął nauczyciel. Przypomniała sobie opowiadanie Mańki. Przeciek odrazu powiedzu co to jei, bo to nikt we wsi nie je taki pomycny, jeno Trochymki dziecioki; ale nauczyciel nie wchodził.

Uspokoila się trochę i zapaliła knotek małej lampki. Światło ledwie migotało. Cienie rysowały się słabo na brudnych ścianach izby kuchennej. Tuż przy oknie stał zbity z nieheblowanych desek stół o szerokich szparach, wbity jedną nogą w polepę i oparty na listwach przybitych do ściany. W kącie przy drzwiach stała duża faska, przy której zawzięcie pracował Ignac, rozpryskując ścierką pomyje. Środek ściany szczytowej zajmowała szafka do misek i łyżek. Po drugiej stronie rozpościerał się na całą długość izby piec do chleba i popękany żelazny piecyk, a między nim a ścianą było wąskie przejście, łączące kuchnię z dużą izbą.

Mańka kołysała zawzięcie, bo darł się nie tylko Michał ale i leżący w jego nogach najmłodszy Florek.

Trochymka przysiadła. Tak ji dzisiaj kolacja z trudem przychodziła. Kiedyindzi o te pore to ju dziecioki były powiskane, napasione i do spania poukładane.

— Dej go! — zawołała ze złością. — Ledwie ślipia zamkneni, a ju wrzeszczo.

Podany przez Mańkę Florek chciwie przywarł ustami do obwisłej piersi matczynej.

Trochymka oddała się nowym rozmyślaniom.

— Akurat na Matke Bosko Siwno tydzień minuł, jak Florkowi roczek przeleciół, a tu ju może jutro przyleci...

— Mamo!

— Czegoj znok?! — obruszyła się Trochymka. — Już ty dzisiaj matce żyć nie dosz!

— A to Gińka powiedziała we škole na pauzie, co bociany to tylko baje...

— Una je głupio! — przerwała żywo. — Mańka tyż je głupio, bo po ni pogaduje. Zamiszej w garku, to lepi zrobisz.

— Mańka spojrziała na matkę i poszła zamieszać dużą warzáchwią w żelaznym garnku. Wyjmowała co chwile niedogotowane kartofle i studząc je sobie na dłoni, zajadała z apetytem.

Trochymkę znowu nachodziły złe przeczucia. Przypomniała sobie, jakto dzisiaj w nocy we śpiku przyszła do ni nieboszczka matka i tak przy jej łóżku wyciungala sobie palice aże trzaskało... Takie były długachne, długachne...

Już od rana nie mogła jeść, ino ukradkiem przed dziećmi wypła kapke mlika, bo ji się na dołku tak cknęło.

W garnku coraz głośniejsz bulgotało i zapach gotujących się kartofli napępniał izbę.

Trochymce nie chciało się nawet poruszyć. Tak ji było dobrze z tym myślunkiem. Skrzyczała tylko Mańke, że to z pazurami do garka lizie i wszystkie kartofle z flity wygarnie.

Dziewczyna niechętnie odeszła od kuchni, a po chwili wydoszła z kołyski Michała i posadziła go na stole dając mu do zabawki gęsty grzebień, który dzieciak chciwie do ust poniósł.

Trochymka spojrzwała na garnek.

— Już czas wstając — pomyślała — ale jaszczek troche.

Schowała pierś.

— Mańka, weźmi Florka! — zawołała nagle i podała dzieciaka dziewczynie. — Pobaw ino aby zaklepie kartofle, a stój przy stole, bo Michał jaszczek zleci.

Wstając sparła się na moment o piec. Ręce trzęsły się ji coraz bardzi. Ustać nie miała siły i po krzyżie zimno chodziło. Czwała, że nogi to ji patrzajuncy puchno, a tu tyła jaszczek roboty. Najgorzy to świnioki kwiczo i kwiczo. Abo tyż tyle czasu zmarnowała na te myślunki.

— Co bandzie, to bandzie — szepnęła dla dodania sobie otuchy. — Przeciek dla ni to nie nowina. Juże dziesińc latek minęło na śwaintygo Wawrzyńca, kiej poszła za Trochyma. Gdzie óna oczy wtedy miała? Sidam morgów dostała przeciek, krowe, jałowizne i tyła domowego statku... Gdzie óna oczy miała? Przeciek to beł zawsze taki zaśmarkany chłop. Wiczenie niuchoł ginolem swoim i na izbe ciskoł. Ile to obrazy boski bez to beło?... Ile razy nacharowała się w nocy, wielgachno podłoge w izbie duży wyszorowała, że kiejby mlikiem poloł, a on jo zawsze buciskami zachachmacił, zabrzydził...

— Mamo! Michał się sfajdoł na stole.

Obudziło ją Mańki wołanie. Wzdrygnęła się.

— Bodej cie i siubrzej!

Zęłona schwyciła Michała, poczęstowała klapsem i posadziła na zimnej podłodze.



Z garnka zaczęło kipieć. Nie wiedziała już co robić. Złapała najpierw ścierkę, którą się bawił Ignac i jednym machnięciem zgarnęła wszystko ze stołu na ziemię, a potem na szpadel i śmyrgnęła na podwórze.

— Mamo, a we śparach?

Trochymka już nie słyszała. Zajęła się kolacją. Wyrzuciła kartofle na miskę, naląła barszczu do garnka i zasypała jeszcze mąką, aby było ganste i mogły się dziecioki naflitować.

Musi się śpieszyć, bo jeszcze chciała na jutro dać czyste obleczenie na łóżko, dużo izbe zamieść, piochem posypać, świniom dać... A tu co chwileczke nachodziły myślenia.

Kuchnie ju nie bandzie uprzuntać. Kумы i tak z pozdrowieniem do izby przyńdo — przecie niebylejako była a gospodarsko córka.

— Żeby to jenszy chłop był — pomyślała z żalem — toby rade doł piochom...

Na dziesiunty roczek sie przewaliło, jak ślubowała, a nigdy jeszcze nie miała takigo utrapinio w sercu. Zdrowa była. Dała mu dziecioków kupe, same prawie chłopoki, bo i dzieuchy były na dościpki łase i kiej chłopoki sprytne...

Nabiadawszy się, przysunęła bliżej pieca ławę, w blaszaną misę nakładła kartofli i naląła barszczu. Chłopu zaś osobno na stole miske ustawiła i przykrasiła mlykiem.

Srodze umęczona siadła na niskim stołku.

— Maryna, dejno Florka na kolana. Przysuń do ławy Michała. Ignacowi poszukej jego łyżke i biegni co żywo do babki po Walka. Chłopok sie bandzie bojoł przyńść. Przychodźta zaro, bo flita ostygnie.

Maryna z radości grzebieniem włosy poczesala.

— O, wej! Jak sie to bandzie bystrzyła. Biegnij żywo! A pocałuj choć babkę w ranke, nie bydź takim tłumokiem — toć chodzisz do szkoły.

Po wyjściu Maryny, Trochymka rozejrzała się z troską po swoich najmłodszych dzieciskach.

— Pódzi Ignas do mamy, pódzi.

Ignac o dużej głowie i pałakowatych nogach przykatulał się do matki.

— O Kryste! — zawołała i wytrzepała go po rękach. — Patrzej! Cało kiecke złoś, jak ciućka wyglundosz.

Chłopak uderzył w płacz aż się w izbie rozlegało, dopóki matka nie wyjęła z kieszeni kawałka chleba.

— Na! Cichoj. To ciućka bebe. Ignas̄ dobry, cacany — przemawiała pieszczotliwie, a kiedy uspokoił się, biadać znowu zaczęła:

— Boże, Boże! Ignac mo trzy lata, a nogi kiejby sierpy. Michałowi rośnie taki duży brzuch, Florek jesczek nie chodzi. Co jo zrobie bidno sirota?

Podawała machinalnie łyżkę strawy to Ignacowi, to Michałowi, a Florek rad zażywał sobie matczynej piersi. Od czasu do czasu budził ją z tej drętwoty Ignac wołając:

— Mamo, jesczek!

— Jutro skorno świt polece do proboszcza — pomyślała — nigdy takiego zafrasowania nie miała.

Ignacowi już kleiły się oczy, Florek zasypiał na kolanach, a Michał łowił jeszcze łyżką kartofle.

W myśleniu takim naszedł ją nauczyciel, prowadząc za rękę Gieńkę. Aże drgnęła. Pewnikiem musi oddać te kapkę mlyka ode swoi krowy.

— Jak to dobrze, że pan profesor zajrzoł — szybko zagadała patrząc na nauczyciela, to znowu surowo na Gieńkę. — Jużem miała zajść i spytać, jak się sprawujo we škole moje dzieuchy.

— Owszem, owszem. Gienia się dobrze uczy i dzieci w szkole również dobrze uczy — mówił powoli nauczyciel. — Ale nie po to przyszedłem.

Po Trochymce zimno przeszło.

— Przyłapałem dziewczynę, jak się w parowie, na Marcelowym gruncie bawiła nieprzystojnie z chłopcami.

Odetchnęła.

— Niechaj pani daje na dziewczyny więcej baczenia i tak od czasu do czasu — tu spojrział nauczyciel na Gieńkę, stojącą u samych drzwi — nie poskapi pasa, to im tylko na zdrowie wyjdzie.

— Oj, strzepie ji ociec skóre, strzepie, aże usieść nie bandzie mogła, niech ino przyńdzie.

Nauczyciel wyszedł.

Trochymkę gorącość odchodziła.

— Djabeł, nie dzieucha — pomyślała, patrząc na

nią. — Takie to już ode małości było, jeno ciągiem za chłopokami...

— Gadej-no, jak to było? — zwróciła się do Gieński.

— A to... a to... nasz Franek, Felek Gawrychów, Marcelowy Józek, Inek sypali mi pod sukinke piosek...

— A to po coś tam do nich, ty frybro, leżała?

— To oni mie wzieni.

— Poczkej, jo siły nimom, ociec ci do chłopoków, poczkej!

Trochymka poczęła się zeźlić ale już na chłopca, że to kolacyja stygnie... — Znowu sie gdzieś zawieruszył... To też złość na Gieńkę szybko ją ominęła. Milcząco złożyła uśpionego Florka do kołyski. Ignaca i Michała zaniósła na łóżko do dużej izby, a gdy powróciła, Gieńka jadła barszcz i chlupała lzy.

— Oj! nie becz! Jeszczek nie dostałaś. Żywo ic i dej swinium żarcie.

Sama zabrała się do roboty w drugiej izbie. Wnet pościel powlekła, podmiotła ze środka izby paprochy. Obraz Matki Boskiej Karmiącej z brudu otarła. Wytrząsnęła kurz z kwiatków bibulanych, wypłowiałych i popstrzonych przez muchy.

Czuła w sobie ruchy jak zwykle. Spojrzała na obraz świętego Krzysztofa, co to Dzieciątko przez rzekę przenosi na kulawych nogach.

Myślenie znowu cisnęło się do jej głowy wielgachną kupą, kiejby ludziska do kościoła.

Uklęknęła przed obrazem świętego Krzysztofa i jęła się modlić żarliwie, że to bez nijakiej przyczyny myślunki różne, trwożę do jej serca znosiły.

— O, śwanty Chrzyście, ratuj dusze moje i przeprowadź mie bidno bez te wszystkie myślenia jako Dziecionteczko przeprowadziłeś bez wielgachno rzyke.

Do izby weszła Mańka, ciągnąc za sobą opierającego się Walka.

— Mamo! Walek przy kuchni u babki, wypolił sobie tako dziure w tym ubranku.

— O, Kryste! — powstała — O, siubry zatracóne! Toć człowiek i ranceby sobie urobił na wos. O, nieszczaniście moje! Dopiroj co na jarmaku kupilim...

Chwyciła ją złość, bo to i chłopą jeszczek nie było. Sprząła Walka pasem, ażę pod łóżko wlaźł i jak psiok skomlił.

Zmęczyła się i przysiadła na krawędzi łóżka, a tymczasem dziewczyny wniosły kołyskę.

— Dzieuchy, ozbierajta sie! Walek! Wyliziesz ty mi zaro z pod łóżka! Maryna, nie bandziesz dzisia spała w nogach z matko, pódziesz do chłopoków, a ino nie wirzgej kopytami w nocy. Ginka, lepi bandzie, kiej pódziesz spać z Frankiem do stodoły.

Maryna zaczęła szlochać.

— Czegoj znok?

— Jo nie chce spać z chłopokami.

— To se idź do babki.

— Jo nie chce do babki.

— Dzisia, pedziałam, nie bandziesz spać z matko!

— Jo nie chce z chłopokami i już...

— To se śpi na ziemi!

Gieńka rozebrała ubrudzonego Walka i ułożyła na łóżko, gdzie już spali Michał z Ignacem, a Mańka wciąż szlochała siedząc na podłodze.

— Gińka, spuść Burka z łańcucha. Jak bandziesz wychodziła, przymkni drzwi od sini, bo ociec jeszczek przyńdzie. A gdzie Franek? Czegoj nie był na kolacy?

— Spi w stodole, bojoł sie przyńść.

Lampka dopalała się i kopcić zaczęła.

Po wyjściu Gieńki, Trochymka wzięła kropidło, nalała święconej wody na talerz i jęła kropić: najpierw swoje łóżko, potem dzieciaków. Spojrzała miłośnie na Mańkę skuloną, na Ignaca, na Michała, na Walka, którygo najbardzi kochała za te ślipia, co to do jej były kubek w kubek, chocia dla wszystkich jednako matko była.

Najbardzi smucił ją Florek, że to przeciek już roczek minął, a nie miał sie na chodzenie. Nóżki kiej patyczki. Michał to beło już chodził, kiej Florek przylecioł...

Skończyła kropienie. Z kufra wzięła czystą, lnianą koszulę, jeszcze wyprawną i od wielkiego święta. Zgasiła lampkę.

Przed snem uklękała i poczęła odmawiać z zamkniętymi oczami pacierze: trzy Ojczy Nasz, trzy Zdrowaśki, Dzie-

sięcioro i za dusze w czyściu gorejące. Jeszcze biła się w piersi, jeszcze prosiła o zmiłowanie, kiedy do uszu jej dobiegł trzask. Otworzyła oczy. Cała izba zalana była jasnością.

— Jezu!! Stodoła!!! — wrzasnęła i zerwała się jak wichur wybiegając na drogę.

— Ludzie!! Somsiedzi!! Ratujta!! Ratunku!! — rozlegało się jej rozpaczliwe wołanie i szło po polach, budząc uśpioną już wieś.

Nagle zawróciła się na podwórze, dobiegła płonącej stodoły i szarpnęła wierzeje. Uderzył w nią żar. Wpadła do wnętrza.

— Franek!!! Gińka!!!

Wybiegła i z furją jakąś okrążała stodołę pod lecącymi główniami precz wołając:

— Gińka!! Franek!! O Jezu! Ratujta! Somsiedzi ratujta moje dziecioki! Ratujta!! Dziecioki moje w ogniu!!

Z krzykiem rozdzierającym padła wyczerpana z sił, rwąc palcami kawały ziemi.

Zewsząd nadbiegali sąsiedzi.

Strawiony przez ogień dach stodoły zapadł się z hukiem i strzelił w niebo słup gęstego dymu.

Ratowano dom i kuźnię. Pomagał ludziom wiatr, niosący główne w przeciwnym kierunku, na pola.

Płacz rozespanych dzieci Trochymki, zgiełk ludzi, syki i trzaskanie ognia mieszały się z sobą.

Rozrywano płonące deski i ciskano na nie szpadlami ziemię.

Trochymka ochrypłym głosem wciąż wołała:

— Gińka, Franek, Franek! Dziecioki moje! — a z ust jej piana szła lepka, gęsta...

Kobiety ledwie ją doniosły na łóżko, bo co chwilę zrywała się w bólach i precz przyzywała dzieci:

— Kosteczki moje, już na nic spalone! Dziecioki moje! — Powiodła obłądnym wzrokiem po izbie, chciała znowu biec, aż zmożona szarpaniem legła na poduszkach.

Kiedy ogień tracił na sile, dobiegł ratujących krzyk nowego Trochymioka.

Zebrane sąsiadki dziwiły się, że taki wielgachny, że

plame czerwono miał od skróni aż do ciemienia idącą i nogi bez paliców, kiejby tłuczki do kartofli.

— To jakoweś ukoranie, że to tako kalika — szeptały między sobą.

Babka zakrzętnęła się koło synowy, że to niby obeznano była, chocia synowy nie lubiała za te gadania, co na synolka patrzy kiej na śwante obrazki.

Sąsiadki, jako nigdy tak zebrane, ulżyły sobie gadaniem i wspomnianiem.

— Mościwewy — zaczęła dowodzić przed chałupą stara Marcelowa, ująwszy się pod boki. — Czy to trza, aby chłopą w chałupie nigdy nie beło, jeno zawsze na loferce?

— Przeciek, a ino prouda. A toć te nożyny bez co? Bez te pijaństwo — dodała Gawrychowa.

— Jo myślę, co bez ciungłe noszynie Florka. Jeszczek jedno nie chodzi, a już drugie — wtrąciła się do rozmowy zdrowa i ładna, młoda Marcelowa.

— Nie bluźnijcie! — wmieszała się, stojąca na uboczu młoda Łopuszyna, która co roku daje chłopu zdrowego Łopucha. — Trza jeno, coby chłop beł jenszy. Jak woma Pon Bóg nie doł ani jednego, to sie i nie wydziwiejta.

— A po coć mi? — odparła młoda Marcelowa. — Obrazy boski ino dużo, a pożytku nijakigo.

Oburzyły się kobiety, a nawet stara Marcelowa na synową szepnęła do najbliższej sąsiadki:

— Głupio!

Łopuszyna zaperzyła się mocno, że to jeszcze młodą była i jak skra żywą. Już miała na języku mocne powiedzenie dla młodej Marcelowej, kiedy wszyscy zwrócili się w stronę gospodarza z sąsiedniej wsi, który prowadził za ręce trzęsących się z zimna Franka i Gieńkę.

— Pochwalony — rzekł gospodarz, zbliżając się do gromady.

— Na wieki! — odpowiedzieli chórem.

— Ide se ano bez brzezinke — rozpoczął — bo me ciekawość sperła na kogoj Pon Bóg dopust zesłoł, a tu patrze, siedzu se dziecioki kowola. A wy co tu, pedom. A óni — ucieklim. A bez co? — pytom. Dzieucha w bek i bez łyzy: a to Franek polił papirosa i zapolił ojcowo stoło.

Po gromadzie przeszedł szmer oburzenia.

— To tak — ciągnął dalej gospodarz — chodźta do dom.

— Jakie to od Boga szczańście, co chałupy nie so razem — rzekł Gawrych — bez takie bezkurcyje byśma wszyscy z torbami poszli.

Ogień dogasał. Sąsiedzi rozchodzili się grupami po domostwach swoich, a Trochymka bez opamiętania całowała to Gieńkę, to Franka i opowiadała, jak im bociek bez komin braciszka podrzucił, a że był pewnikiem młody, to poozbijoił braciszkwowi nóżki, że so kiej kije takie proste.

Nad samym ranem przyszedł do izby Trochym, a że był małomówny, nie mówił nic kobiecie, że nie pilnowała dobytku, ale tylko obszedł zgliszcza i spluwał siarczyście raz po raz.

Z chłopoka nie był rad, bo to i koślun i naznaczony. Machnął ręką kilka razy, cisnął w kąt izby kozuch, legł jak długi, znużony drogą, piciem i zaraz chrapać począł aż się po izbie rozlegało.

— Boże odpuść — szeptała na łóżku Trochymka. — Do jednygo, to mo za dużo krwi, a do roboty to ino wode.

I znalazła myślunku swego przyczynę: Pon Bóg nie chcioł jej krzywdy, bo długo bez to zasnuć nie mogła i wnet całutko wieś przywołała do ratunku. A najwincy to jo radość ozpierała, co dziecioki wszystkie całe i zdrowe.

JAN SOB CZAK

*Dziateczkil strzeżcie się bałwanów.*

List pierwszy pow. św. Jana Apostoła cap. V. ver. 21.

Niedługo minie dwa lata od chwili, kiedy ukazał się ostatni numer Skamandra. Kiedy mówię o s t a t n i — myślę, że następny pewnie się już nie ukaze. Skamander bowiem spełnił swoją rolę strategiczną i wyniósł, kogo należy, na piedestał. Ponadto trudno sądzić, aby istniała jakakolwiek poważniejsza przyczyna zaniechania wydawnictwa od tęsknoty ujrzenia własnymi oczyma, jak to zamyka się epoka.

Zresztą istnieje Pamiętnik warszawski, niewątpliwie ciekawy ewenement wydawniczy. O tym pamiętniku krążą niebawale pogłoski. Podobno cały nakład czasopisma wprost z pod prasy przenosi serafin do magazynów biblioteki Uniwersytetu.

Podejrzewam jednak, że rola i znaczenie Skamandra pozostały dotychczas niedocenione. Skamander był istotnie epoką, zamknął epokę i epokę otwiera. Przeto niech mi będzie wolno odśpiewać Miserere nad świeżą mogiłą zasłużonego.

Było tradycją piśmiennictwa polskiego, że jego historia była jednocześnie historią wysiłków myśli. Co w społeczeństwie było najmądrzejszego i najgłębszego, to znajdowało swój najistotniejszy wyraz w poezji. A mimo to była to poezja wysokiej klasy, której walory formalne rozrastały się wraz z rozrostem wewnętrznej treści. Skamander przyszedł, aby dowieść nicości myśli wobec absolutnego kształtu. Absolutne słowo — czyli kształt niczego. Hocus-pocus! hoc est corpus. Tę zasługę należy mu przyznać.

I oto pół miliona snobistycznych panierek i wieszczów pisze wiersze nie gorsze od wierszy Tuwima, a siostry poetów są poetkami i bracia poetów wyrastają na poetów.

Wyjątkowo artystyczna i kulturalna epoka! — nowy renesans. Ten bujny rozkwit grafomanji jest również niewątpliwą zasługą Skamandra. Skamander wyprostował mu ścieżki i ułatwił istnienie. Nie ukazując sobie żadnych dalszych celów, jednocześnie i jemu usunął z pod nóg wszelkie przeszkody — utwierdził go i umocnił. Nadto, aby nie zginął młodo, dodał mu jeszcze niechybny środek — strategiczną organizację, sam kryjąc w swym cieniu zdecydowanych grafomanów.

Takie postawienie sprawy naraża w najlepszym razie na opinię wsteczніка i konserwatysty, — wolę to jednak, niż rolę forpoczty głupstwa. Ks. Baka też był kiedyś rewelacją i futurystą, a niewątpliwie stworzył epokę.

Kiedy Skamander spotkał się kiedykolwiek z zarzutami bez-



ideowości, to na każdy zarzut miał już przygotowaną odpowiedź: zmodernizował i wykształcił formę, położył zasługi dla nowej estetyki. Te pół miliona wyżej już wspomnianych estetów niech zaświadczy o znaczeniu jego roli, a dziesiątki t. zw. tomików w guście p. Konopackiej, czy Kołonieckiego niech ośłodzi mu gorzkie ojcowstwo.

„Jeszcze jedno nie obeschło, a już drugie wali“ — powiedział p. Juliusz Kaden Bandrowski przed dwoma laty w rozmowie towarzyskiej, dowiedziawszy się o nowem zamierzonym wydawnictwie poetyckiem. Mówiąc nie obeschło, myślał nota bene o Skamandrze, który dotychczas zdążył się już wysuszyć.

Myślałem wtedy o tych dalekich czasach, w których straszyc się będzie dzieci cieniem Lechonia, a my po latach twórczych wysiłków zajmiemy pozycję opuszczoną przez naszych poprzedników, poczem przyjdą inni. A tu wystarczyło dwa lata, aby wyrosło tyle grup poetyckich i niezorganizowanych wieszczów. Każdy zdolniejszy poeta posiada już zorganizowaną grupę swych młodszych twórczących entuzjastów. Ci twórcy piszą bardzo ostrożnie, mniej lub więcej poprawnie, wiersze o jesieni i pogodzie, częściej o proletariacie. Że twórczość ta jest piekielnie nudna, tę zasługę również możemy przyznać Skamandrowi (ale tylko do podziału z Głosem Prawdy Literackim).

Jeżeli jednak pokolenie poskamandrowe posiada niewątpliwe talenty, to nie znajdują one naogół uznania u swych poprzedników. Przypominam sobie osławiony sąd p. Al. Wata o epigonach twórczości Skamandra. Taka taktyka świadczy raczej o tem, że wywyższeni niepewnie się czują na swych piedestałach. Należałoby więc, korzystając z tego, zapytać, skądto twórcy Skamandra tak pełnemi dłońmi czerpią przeświadczenie o swoich wysokich wartościach. Wszelkie bowiem podstawy dla tych przeświadczeń są chwiejne i mętne. Natomiast rola augurów *ex officio* i poczucie wyłączności sprzyjają zawsze takiemu przeświadczeniu.

Wobec tego, czy wzajemna lojalność nie byłaby raczej na miejscu. Ta może dopiero oczyściłaby nieco ogólną atmosferę.

Strategja bowiem w sztuce, która zastępuje lojalność i poważne osądy, sprowadza jako rezultat zamętowanie, sprzyjające rozwojowi małych rybek. Dzięki niej zapewne Or-Ot jest dziś nie mniej popularny i zasłużony od Staffa.

Miserere...

Należałoby jeszcze dotknąć na poparcie naczelnej tezy artykułu t. zw. poezji proletarjackiej.

Kiedy w wyniku wytworzenia się pewnej opozycji przeciw kultywowaniu czystego nonsensu, podniesiona została sprawa roli społecznej sztuki, przypomniano sobie rzucone przez kogoś bliskiego sfer oficjalnych słowo — proletarjat. Jednak widocznie trudno było przełamać odrazu zwarte szeregi głupstwa. Kwestja proletarjacka już na wstępie została fałszywie postawiona (najrozumniej wypowiedział się A. Słonimski na łamach „Robotnika“) i sze-

roka dyskusja nie przyniosła nic, prócz szkody. Wszyscy młodzi poszukiwacze idei podchwycili to hasło, ażeby już wkrótce znaleźć się nosem w ślepej kieszce. Abiturjenci gimnazjów, którzy nigdy nie wspólnego z proletariatem nie mieli, postanowili sobie rozwiązać tragiczny splot stosunków socjalnych za pomocą zmodernizowanej metody Marji Konopnickiej. Ckliwą litość dla nędzy zastąpiła bardziej efektowna klasowa postawa marksizmu. (Wartoby jeszcze dziś przeprowadzić ankietę, kto z pośród tych młodych, klasowych poetów zna Marksa, choćby z popularnych broszurek).

W rezultacie zagadnienie stało się żerem dla burżuazyjnego snobizmu i póty nie znajdzie właściwego rozwiązania, póki „proletarjacki“ pisarz nie pomieści się w szeregach twórczego proletariatu. Ale na to trzeba zbliżenia do proletariatu, a nie, jak to często bywa, do pseudo-socjalistycznych koteryj. Jakże w kawiarnianej atmosferze bohemy może powstać sztuka będąca wyrazem wielkich ruchów wyzwolenicznych świata? W snobistycznej, burżuazyjnej atmosferze poezja przestaje być żywą sztuką, raczej staje się sztuką odkrycia takiej lub innej metafory (społeczna sztuka Peipera). Stosunek do zagadnienia staje się czysto zewnętrzny, emocjonujący najwyżej znudzone damy, jak to wskazywałem, omawiając twórczość Mieczysława Brauna. Pisarz nie może wyciągać rąk do proletarijusa, a tylko sam nim być musi.

Zresztą oprócz proletariatu istnieje jeszcze burżuazja i ludzerycy na Samoa, kosmos i mikrokosmos duszy każdego indywiduum.

Poeta społeczny nie ma prawa wymigiwać się od swoich zadań jedną choćby naczelną i najbardziej mu bliską kwestją, nie ma prawa się czegokolwiek odrzekać, ani o cokolwiek zubożać, jeśli nie chce skostnieć i zgłupieć. Istnieje tak dobrze zaściankowość proletarjacka, jak i burżuazyjna. Jedno i drugie prowadzi do skostnienia i uwiądnienia, jakiemu wielu już skądinąd utalentowanych uległo.

Widzieliśmy.

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI

JULIAN WOŁOSZYNOWSKI. *SŁOWACKI*. Powieść. Wyd. Polskie K. Wegener, Poznań 1929, str. 313.

Książka Wołoszynowskiego nie jest tylko szeregiem scen z życia Słowackiego. Słowacki Wołoszynowskiego to przede wszystkim legenda o poecie, to legenda genialnego twórcy, jego tułaczki i cierpienia, miłości i tęsknoty. Wołoszynowski nie stwarza wielkich głębi psychologicznych, nie ukazuje dostatecznie wewnętrznej treści geniusza poezji. Dzieje się to dzięki romantyzmowi u stosunkowi autora do tematu. Właściwie niema w książce analizy, autor nie dokonuje wiwisekcji — nie ma miejsca, do którego przyłożyłby zimne ostrze intelektu. Analizę intelektualną zastępuje wnikliwość intuicyjna poety. Ona to stwarza tak piękne wizje, jak obraz Krzemieńca czy Londynu, ona jednocześnie otacza wszystko romantycznym urokiem legendy. Wołoszynowski bierze Słowackiego takim, jakim chciał on być. — Z mego życia poemat dla Boga, — stąd w książce wszędzie trawestacje, transpozycje ze Słowackiego, trzeba przyznać bardzo piękne i poetyckie. Robią one nieraz na czytelniku wrażenie analiz, ale są to tylko analizy uczuciowe, intuicyjne. Książka od początku do końca, to poemat o poecie, nie pozwalający wydrzeć się z pod oroku romantycznej legendy. Jest wskutek tego jednak w kompozycji książki pęknięcie. Ten błąd konstrukcyjny tkwi może w niezasypanej przepaści między Słowackim-bajronistą z pierwszych rozdziałów, a Królem-duchem w finale powieści. Geniusz ducha rodzi się, jak *deus ex machina*. Nie widzimy i tu, jak dochodzi się do wielkości. Bo talent można mieć od urodzenia, ale do wielkości ducha się przychodzi. Tego brak. Pozatem książka jest bardzo piękna.

Niech te kilka uwag wystarczy za rzeczową recenzję.

s. r. d.

MARJAN PIECHALA. *KRZYK Z MIASTA*. Biblioteka Meteora. Warszawa 1929.

Od wierszy Piechala, jak wogóle od poezji t. zw. proletarjackiej, wieje pewien chłód, chłód intelektu, szukającego oparcia. (Należałoby przeciwstawić ten chłód gorącu szukającego serca). W opanowanym patosie poety dużo jest zimnego ognia, który nie pali — gniewu, którego przyczyna jest niewyjaśniona i kierunek nieznan — wzruszeń płynących nie z przeżycia, nie z serca, a z przemyślenia. Entuzjazm, przyczyna wszelkiej poezji, u Piechala robi nieraz wrażenie nie lotu, lecz trzepotania, szukania punktu zaczepienia, odskocznia, z której możnaby się dopiero porwać do lotu. Przykładem tego stosunku do wzruszenia jest choćby pointa pięknego wiersza p. t. Macierzyństwo. Dwie pierwsze strofy tego wiersza dają obraz żebraczki z dzieckiem, siedzącej nad rynsztokiem, a trzecia brzmi:

Oto natchnienia płomień!  
Sprawa najprostsza — tematem!  
Dnia zwyczajnego promień,  
Łamany serca pryzmatem!

Zwrotka ta osłabia wiersz i oziębia go. Wskazuje, że wzruszenie nie przyszło, jak burza, niepytane, ale że jest wynikiem programu. Ta właśnie obnażona programowość jest przyczyną chłodu, więcej od wielu wierszy, zawartych w tomie. W miarę czytania nabiera się niemal pewności, że program jest czemś obcem indywidualności poety, że jest mu potrzebny dla uwydatnienia jego poważnego stosunku do poezji (zresztą powaga poezji na koturnach programu jest dość problematyczna). Podejrzewam nawet Piechala, że dał się uwieść prądem, modzie na proletarjackość, programowość. Bo przecież powiedzenie, w wierszu otwiera-

jącym tomik („Komentarz“): „O Tobie teraz mówić i do Ciebie chcę — jeszcze dotąd człowieku bez twarzy“, upoważniałoby do mniemania, że tematy poruszane przez Piechała, będą czemś bardzo nowem w poezji. Tymczasem program swoje, a poeta swoje. Tytuły wierszy mówią wyraźnie, że ludzie, o których poeta pisze, mają swoją wyraźnie zarysowaną twarz i to nie tylko w społeczeństwie lecz i w poezji. (Wenus fabryczna, Wschód prostytutek, lub Nauczycielka, Aktor, Lekarz). Wiele z pośród tych wierszy kłóci się z programem, czyto jeśli chodzi o koncepcję, czy o realizację artystyczną. I te właśnie wiersze, w których nie widać programu, są najpiękniejsze. Naprz. Nauczycielka — o pełnych świeżości i trafnych metaforach, że pozwolę sobie przytoczyć ostatnią:

— noc ci tylko na sercu pękniętem  
położy gałąź nieba z owocami gwiazd.

Nie działają zaś przekonywująco na czytelnika takie zwroty, jak zakończenie wiersza *Rękopis* (typowo programiarskie): — Dlatego płonę gniewem — gniewam się ogniem; — jak wyżej przytoczone zakończenie *Macierzyństwa*, jak *Burza*, jak *Wicher*. Od ich, pięknego wprowadzenia, patosu, wieje chłód. Są i wiersze, mające związek z programem, a jednak piękne i bezpośrednie. Taki jest — *Plac Wolności w Łodzi*. — Zresztą na wszystkich, zawartych w tomie znać piętno bezsprzecznego talentu, opanowanie formy, świeżość i plastykę obrazowania. Jeśli chodzi o stronę treściową, należy wyróżnić niebanalną refleksyjność, jakiej brak daje się odczuwać młodszej poezji. Refleksyjność ta jednak, wskutek intelektualistycznego nastawienia, czasami trochę ciąży nad wzruszeniowym charakterem poezji. Indywidualność poety odbiła wszędzie swoją pieczęć. Tylko na wierszach, zawartych w II i III części wybitnie odciska się wpływ Tuwima (*Wanda*, *Amanda*, *Lipa*, *Wakacje marzeń*, *Rozmowa poetów*, *Ciemne piwo*); dyskretnie występują wpływy Lechonia, Wierzyńskiego i Broniewskiego. Ten pierwszy tom debiutującego poety zapowiada samodzielną i mocną indywidualność poetycką.

Nakładem wydawnictwa „Petropolis“ w Berlinie, wyszła we wrześniu książka p. t. *Современные польские поэты (Współcześni polscy poeci)*, w opracowaniach Sergjusza Kułakowskiego, z przekładami Michała Choromańskiego. Tytuły rozdziałów brzmią: *Młoda Polska*, *Skamander*, *Poza ugrupowaniami*, *Czartak*, *Futuryści i Nowatorzy*, *Grupa Społeczno-Rewolucyjna*, *Kwadryga*. Z poetów Młodej Polski wybrani tylko: Jan Kasprowicz, Tadeusz Miciński, Leopold Staff i Kaz. Tetmajer, może dlatego, że najsilniej wpłynęli (szczególnie Staff) na rozwój współczesnej poezji polskiej. Ze współczesnych nie pominięty bodajże nikt. Rozdziały noszą charakter krótkich szkiców biograficzno-krytycznych, zawierających pewną ilość danych biograficznych, treść i rozbiór celniejszych utworów czy książek i ogólną charakterystykę poety i jego dotychczasowej działalności. Każdy rozdział zakończony tłumaczeniami celniejszych lub charakterystyczniejszych wierszy omawianego poety, pióra M. Choromańskiego. Szkice p. Kułakowskiego — są obiektywne i zajmujące. Zawarł w nich krytyk w krótkim zarysie całą historję poezji polskiej od r. 1918, nie pomijając najdrobniejszych zjawisk. Tłumaczenia p. Choromańskiego wierne i ładne. Bardzo dobrze wyszły przekłady K. Wierzyńskiego, którego Laur Olimpijski ukazał się niedawno w przekładzie Choromańskiego nakładem „Petropolis“. Książka niewątpliwie uprzystępni szerokim kołom emigracji rosyjskiej bliższe zapoznanie się z poezją polską współczesną.

Redaktor i Wydawca: WŁADYSŁAW SEBYŁA

Czcionkami Drukarni Narodowej w Krakowie pod zarządem Marka Szełtriga